

NOWINY TYGODNIA

Sobota
8. IX. 1956 r.
Nr 33 (329)

DODATEK SPOŁECZNO - KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH”

IX FESTIWAL FILMÓW RADZIECKICH



4 bm. minęła 147 rocznica urodzin Juliusza Słowackiego

Juliusz Słowacki

Wyjdzie stu robotników

Wyjdzie stu robotników,

oborzą miasta grunt,
wyrzucą łokieć — funt.

Klatki pełne wróbelków
otworzą — i przed tłuszcza
ptaszki na wolność puszczą...

Muzyka nieustanna:

Wolność! Wolność! — Hosanna.

Święci staną w katedrze
trzej... i zawezwą ducha,

lud księgi praw rozedrze,
próchno kart porozdmucha;
weźmie stare sztandary,
wyprowadzi jak mary

za kościół — na mogiły,
zapali, by świeciły

światu dawnymi dzieły,
błysnęły — i spłonęły.

Bije godzina ranna,
masy rzekły. Hosanna!

Bo to jest wieszczka najjaśniejsza chwała

Bo to jest wieszczka najjaśniejsza chwała,
że w posąg mieni nawet pożegnanie.

Ta kartka wieki tu będzie płakała
i leż jej stanie.

Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę,
ja kończę moje na ziemi wygnanie,

ale samotny — ale izami płynę —
i to pisanie...

Siedem nowych festiwalowych filmów radzieckich daje pełne podstawy do nazwania całego dorobku filmowego Kraju Rad kinematografią ciągłych, twórczych poszukiwań. Wydaje się, że twórcy radzieccy obrali w tym wypadku najszlachetniejszą drogę, bo przecież niełatwo jest otrząsnąć się z narosłych w milionym okresie błędów schematyzmu. Długo czas nieustannie stwarzano mit o wysokiej klasie absolutnie wszystkich filmów radzieckich. Było to zupełnie niepotrzebne ze względu na prosty fakt, iż najlepší nawet reżyserzy i scenarzyści „potrafia” niejednokrotnie zrealizować kiepski kicz, ponura szmire. Wystarczy tu przypomnieć niektóre „stracone pozycje” De Siki czy nawet reżysera tej miary co Rene Clair lub Chaplin w najwcześniejszych swoich jednoaktówkach.

Należy jednak pamiętać o tym, że u podstaw filmu radzieckiego leżą dzieła wsobnie, wstrząsające do głębi swą wymową humanitarną, swymi niezawrotnymi wartościami społeczno - artystycznymi. Mam tu na myśli m. in. „Matkę” Pudowkina, „Pan cernik” Poliomkina, „Eisenstein”, „Czapajewa” braci Waksiliew, czy wreszcie „Lenina w Październiku” Romma.

mowe na rok 1958 (87 filmów fabularnych, podczas gdy w roku 1955 wyprodukowano ich 65).

„To jest nadzwyczajne, jak przeróżne formy adaptacji w interpretacji Szekspira można zastosować na scenie” — powiedział Laurence Olivier, znany reżyser, zakochany w atmosferze dramatu Szekspira. Jego wypowiedź jest dość znamienna jeżeli weźmiemy pod uwagę „Otello” w realizacji Jutkiewicza. Film Jutkiewicza (nagrodzony za reżyserię w Cannes) odbiega od klimatu filmów Oliviera mimo to, oddaje klimat dramatu Szekspira. I dlatego film ten jest jedną z najcenniejszych pozycji tegorocznego festiwalu.

Tegoroczny festiwal w Karlovych Varach nagroził dwa zupełnie różne tematycznie filmy: „Siedztwo” i „Bunt kobiet”. Znana powieść Gladkowa „Wolnica” została przeniesiona na ekran przez Grzegorza Reszala. Wstrząsające obrazy carskiej Rosji mają wielką wymowę popartą wspa-

rolę. Jeżeli już mowa o Batałowie, wydaje mi się, że aktor ten ukazał nam olbrzymią skalę rozpiętości swego talentu, dając niezapomniane kreacje tak w „Matce” jak i „Siedztwie”.

I wreszcie ostatnia adapta-

ne momenty oddane są z urzekającą wiernością, inne daleko odbiegają od mojej wyobraźni.

Dwa, bardzo ciekawe filmy celowo zostawiłam na ostatku: „Ulica” Ozierowa i „Siedztwo” Chejficca sięgnęły po te-



„Ulica”

cja: „Poemat pedagogiczny” matkę współczesną, poruszając wiele bolesnych spraw nurtujących dzisiejsze pokolenie. „Siedztwo” Chejficca, nagrodzone w Karlovych Varach „Nagrodą walki o nowego człowieka” to dobry film, pełen dynamizmu i dramatycznych spłót. Sensacyjna, szpiegowska intryga posłużyła do ukazania „rzeczy wielkich w naszej szarej codzienności” — jak oświadczył reżyser filmu. „Ulica” Ozierowa po raz pierwszy poruszyła odważnie problem młodzieży zaniedbanej moralnie. Śmiało wtargnął reżyser w głąb spraw, jakże często do tej pory, ukrywanych wstydliwie. Ciekawe rozwiązanie nasuwa nam jego koncepcja: uczciwe otoczenie



„Matka”

Obecny IX Festiwal Filmów Radzieckich przyniesie nam miłą niespodziankę: pozwoll obejrzeć siedem filmów o szerokim zakresie tematyki: począwszy od szekspirowskiego dramatu poprzez w. XIX („Bunt kobiet”), początki XX w. („Matka”) i wreszcie to czego najbardziej jesteśmy ciekaw, dramat współczesny („Ulica” i „Siedztwo”).

Mimo tej różnorodności tematów na siedem filmów dwytłko są zrealizowane na podstawie oryginalnych scenariuszy, zaś reszta to adaptacje i to właśnie świadczą o trudnościach obecnego okresu, o ciągłych poszukiwaniach najdoskonalszej formy i treści. Brak dobrego scenariusza jest jeszcze poważną przeszkodą do przewyższenia przy tak wielkich założeniach, jakie mają przed sobą radzieckie wytwórnie fil-

niała kreską młodzieżowej ab-solwentki Wszechwzruszkowego Państwowego Instytutu Kinematografii — Rufiny Nifonowej. Problematyka walk społeczno - politycznych ciągle nurtuje twórców radzieckich. Podejmując ją po raz wtóry Marek Doński jeden z najbardziej znanych reżyserów, stworzył nową „Matkę” adaptując powieść Gorkiego. Niełatwa miał rolę do spełnienia, mając ciągle przed oczami niezapomniane dzieło Pudowkina z 1926 roku. Stąd też biorą początek różne głosy w dyskusji nad filmem: i że i Jobre, i takie nawet, które entuzjastycznie witają postać Nilowny, zagrana przez świetną aktorkę radziecką Wierę Marecką. Ciekawym wydarzeniem jest odtworzenie postaci Pawła Wasowa przez Aleksieja Batałowa, bratanka Miłojaja Batałowa grającego w „Matce” Pudowkina tę samą



„Otello”

pozostaje. I nagle po latach może zastąpić szkołę i zwrócić się do wszystkich wychowanków Makarenki na ekranie. Niełatwo wtedy przyzwyczaić się do nich. Dlatego ciężył ku mi osobiście pisać o filmie Maslukowa i Majewskiej. Jed-



„Poemat pedagogiczny”

IWAN FRANKO I POLACY

Mija setna rocznica urodzin wielkiego pisarza, poety i rewolucjonisty ukraińskiego Iwana Franka. Pamięć jego czczą wszystkie słowiańskie narody, o których jedność i braterstwo on nieustannie walczył. Ziemia lwowska i rzeszowska była jego ojczyzną. Tu koło Przemyśla i Sanoka, Borysławia i Lwowa zakładał Franko organizacje chłopskie, organizował świetlice ludowe, wydawał postępowe gazety. W swojej poezji i publicystyce był wyrazicielem dążeń ludu. Cieszył się zaufaniem chłopów polskich i ukraińskich. Wyszukiwał go w 1898 roku jako swego kandydata na posła do Sejmu Galicyjskiego. Szlachta nie dopuściła go jednak do Sejmu. Aresztowany, okres w borów przesiedział w więzieniu przemyskim, a następnie wysłano go do Lwowa.

Syn biednego chłopca ukraińskiego był wielkim przyjacielem ludu polskiego. Jednak reakcyjna polska nauka historyczna negowała jego spuściznę literacką.

Spśród jego ponad czterech tysięcy dzieł literackich i prac naukowych są takie, które stoją w rzędzie najlepszych w literaturze słowiańskiej. W doskonałych „Opowiadaniach borysławskich” w powieści „Bas — Constrictor” pokazał straszliwą nekrozę i zafacanie wsi, dzika eksploatację Galicji przez kapitalistów naftowych. Jego poezja posiada trwałe i nieprzemijające wartości: rewolucyjny patos walki z ciemnotą i zafacaniem, głęboka wiara w postęp społeczny. W takich wierszach jak „Kamieniarze”, „Oracz”, „Vivere memento”, w poemacie „Mojeżer” Franko kontynuuje, rozwija dalej tradycję Szewczenki, Mickiewicza i Słowackiego. Iwan Franko wszedł do historii nie tylko ukraińskiej lecz i polskiej kultury. Walcząc o narodowe wyzwolenie Ukrainy rozumiał, że wyzwolenie to będzie można osiągnąć tylko przez społeczne i narodowe wyzwolenie Polaków. Franko jest tą postacią w historii, która najlepiej i najpełniej wyraża dążenia postępowych nurtów społecznych do braterskiego współżycia Ukrainy i Polski. Wychował się Franko w polskich szkołach, pod wpływem polskiej kultury i polskiej myśli postępowej.

Już w pierwszych latach uniwersyteckich we Lwowie za poznał się z polskimi rewolucjonistami. Prace Marksa i Engelsa dochodziły tu najczęściej w języku polskim. W latach 70 i 80 Franko był najściślej związany z polskim ruchem robotniczym. Sam był jednym z wybitnych działaczy tego ruchu w Galicji. W 1878 roku redaguje we Lwowie polską gazetę robotniczą „Praca”. Była to pierwsza gazeta, która tu we wschodniej Galicji propagowała idee naukowego socjalizmu. W tej gazecie ukazały się doskonałe artykuły Franka: „Nauka i jej stanowisko wobec klas pracujących” oraz programowy artykuł „Solidarność”. W tymże roku Franko napisał broszurę w polskim języku pt. „Katechizm socjalizmu naukowego”, a w trzy lata później również w polskim języku książkę, która nosiła tytuł: „O pracy. Książka dla robotników”.

Wówczas to zawiązała się między nim i polskimi rewolucjonistami Czerwińskim i Inglerem bliska współpraca. Razem z nimi Franko w 1881 roku napisał „Program socjalistów polskich i ruskich we Wschodniej Galicji”. Program ten był pisany pod wpływem będącego we Lwowie Ludwika Waryńskiego. Wówczas kierował Franko pracą kół robotniczych we Lwowie, w których razem pracowali Ukraińcy i Polacy. Jak później nieraz podkreślała gazeta „Praca” działalność tych kół dowiodła, że wspólna walka o postęp Ukraińców i Polaków jest nie tylko możliwa, ale i niezwykle owocna. Oprócz tego Franko był aktywnym korespondentem polskich gazet i czasopism takich jak „Tydzień Polski”, „Przegląd Społeczny”,

Jak czytelnicy wiedzą z doniesień specjalnego wydawnictwa „Nowin Rzeszowskich” Lubomira Radziwiłłowskiego obecnie we Lwowie trwają uroczystości z okazji setnej rocznicy narodzin wielkiego ukraińskiego poety, publicysty i działacza społecznego — Iwana Franka, o którego życiu i działalności pisaliśmy w jednym z ostatnich numerów.

Ponieważ Franko działał również na terenie Rzeszowszczyzny, w przemyskim i sanockim (w Przemyślu był nawet więziony) a z czołowymi przedstawicielami literatury polskiej i polskiego ruchu robotniczego łączą go więzy serdecznej przyjaźni i współpracy, drukujemy dziś drugi artykuł, omawiający szerzej te kontakty i wkład Franka do zacieśnienia przyjaźni między ludem polskim, a ukraińskim.

„Głos”, „Przyjaciel Ludu” i innych.

Franko wniósł duży udział do rozpowszechniania materialistycznego światopoglądu w Polsce. W artykułach drukowanych w wielu polskich czasopiśmiech z materialistycznej pozycji pisał o wielu zagadnieniach literatury, ekonomii i historii. Iwan Franko wytrwale zwalczał nacjonalizm polskiej i ukraińskiej szlachty. Śmiało demaskował polskich magnatów, którzy pod szyldem „wspólnej ojczyzny” i „wspólnej matki, kościoła rzymskiego” realizowali swe kolonizatorskie plany. Zyskał sobie przeto wrogów wśród wielu wpływowych przedstawicieli klasy panującej w Galicji. Starało się go zniesławiać za wszelką cenę, reakcyjna prasa polska zmyślała i przypisywała mu tysiące przestępstw, prześladowano go na uniwersytecie lwowskim, utrudniano mu dostęp do prasy, słowem czyniono wszystko by zmusić go do milczenia. I mimo wszystko Franko do końca życia zachowywał swą miłość i przywiązanie do narodu polskiego.

Wychowany w polskich szkołach, przez polską literaturę pisał w te trudne dla niego czasy, — „na równi z innymi” czuje się związany z polskim społeczeństwem”. I wówczas kiedy reakcja nazywała go wrogiem narodu polskiego on pisał do Polaków:

„My życzymy Polakom pełnej wolności i niezależności narodowej. Wyzwolonej Polski nie możemy sobie wyobrazić inaczej jak tylko jako ludową i demokratyczną. Mówią o mnie, że ja nienawidzę polskiej szlachty. Jeśli do tej szlachty zaliczyć Orzeszkową i Konopnicką, Prusę i Lenartowicz, Ostoję i Kasprówicę, to ta myśl o mnie będzie zupełnie niesprawiedliwą, albowiem tę szlachtę, ten kwiat polskiego narodu uważam i kocham, jak kocham wszystkich szlachetnych ludzi własnego i każdego innego narodu”.

A wybitny pisarz ukraiński był doskonałym znawcą literatury polskiej. Jego prace z zakresu historii literatury polskiej jeszcze dziś są interesujące pod wieloma względami.

Franko sam dużo pisał w polskim języku. W archiwum w Kijowie są jego wspaniałe wiersze polskie. W polskim języku napisał on również powieść „Lelum Polelum” i wiele dziecięcych opowiadań.

Franko dużo tłumaczył z literatury polskiej. Do Maksyma Ryłskiego Franko był najlepszym tłumaczem Mickiewicza na język ukraiński. Ryłski w swoim tłumaczeniu „Pana Tadeusza” dużo przejął od Franka.

W swoich artykułach o Mickiewiczu i Słowackim dał on w wielu wypadkach trafną ocenę ich twórczości. Ale najcenniejszą jego zasługą było to, że był na Ukrainie gorącym propagandystą polskiej kultury. Najwięcej interesowała go współczesna literatura. Bojownik o postęp społeczny był on i w literaturze wyrazicielem najbardziej postępowych nurtów. Tepił piórem ostrego satyryka tak pusty symbolizm jak i zwyrodniały naturalizm.

Franko był gorącym zwolennikiem i przyjacielem Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej i Kasprówicza. Serdeczna przyjaźń łączyła go z Orzeszkową. Nie znał się osobiście. Ale korespondencja jaką prowadził z sobą przez kilka lat świadczy dobitnie o głębokim poważaniu talentu Franka przez Orzeszkową. Franko uważał Orzeszkową obok Konopnickiej za „najjaśniejszą gwiazdę na firmamencie literatury nie tylko polskiej, lecz i ogólnosłowiańskiej”. Franko był na Ukrainie jednym z gorących zwolenników poezji Marii Konopnickiej. Nieustannie śledził za rozwojem jej talentu. Sam dużo uczył się u tej, której poezja była najwyższym punktem rozwoju realizmu XIX wieku.

Kiedy w 1902 roku obchodziło no 25-lecie literackiej działalności Konopnickiej, Franko wziął w tych uroczystościach aktywny udział.

Rewolucyjny demokratą Franko widział w Konopnickiej „entuzjastkę postępu nauki i wolności myśli, która całe bogactwo prawdziwie kobiecych uczuć poświęciła służeniu tym wysokim ideałom”. Franko już wówczas podkreślał, że nie filozofia polityczna, a „chłop i ziemia, która go karmi; polska ziemia, jest tą niewzruszoną podstawą jej światopoglądu — podstawą do której sprowadzają się wszystkie jej uczucia i obrazy poetyckie, od której one biorą swe szczególne blaski”. Ale może najciekawszym jest dla nas stosunek do Jana Kasprówicza, kiedy w 30-lecie jego śmierci dokonujemy rewizji poglądów na twórczość tego wybitnego poety, który na

przełomie dwóch wieków podjął się trudnej sprawy dźwignięcia polskiej poezji na nowe wyżyny. Franko był pierwszy, który starał się dać wszechstronną, naukową ocenę twórczości Jana Kasprówicza.

Kasprówicz był dobrym znajomym Iwana Franka. Od 1889 do 1898 roku obaj w charakterze redaktorów pracowali w „Kurierze Lwowskim”. W tym okresie było wiele między nimi wspólnego — obaj prześladowani za postępową działalność z trudem ukończyli wyższe studia, obaj szukali nowych dróg w poezji.

W swym rozwoju poszli jednak w różnych kierunkach, bo różne były zadania stojące przed poezją polską i ukraińską. Franko dał ciekawą analizę pierwszego okresu twórczości Kasprówicza. Już w poemacie „Wojtek Skiba”, w dramacie „Koniec świata”, w poetyckich cyklach „Z chaty”, „Z padołu walki” dojrzał Franko te wartości, które będzie Kasprówicz doskonalił w późniejszych okresach. Franko trafnie scharakteryzował poezję pierwszego okresu. „Kasprówicz łączył nie tyle do utworów doskonałych z punktu widzenia estetyki, ile do pokazania chłopskiej duszy, do pokazania szeregu dokumentów i faktów niezbędnych dla poznania i zrozumienia tej duszy”.

Już wówczas podkreślał Franko umiejętność Kasprówicza charakteryzowania ludzkiej psychiki, „niezwykle wloty ducha bohaterów”.

W swoim ostatnim artykule o Kasprówiczu Franko rzucił swojemu przyjacielowi, by bardziej starannie studiował życie, by przenikał do głębi wybrane tematy, by więcej dbał o kompozycję swoich utworów.

Mimo iż dalszej twórczości Kasprówicza Franko nie przyjął, to cenil go zawsze za jego śmiałość poetycką.

Iwan Franko wiele zrobił dla rozpowszechnienia polskiej poezji na Ukrainie. W jego osobie nasza literatura miała wytrwałego orędownika. W swych licznych pracach naukowych, artykułach zapoznał czytelnika ukraińskiego z wszystkim co było cenne w polskiej literaturze od Kochanowskiego do Kasprówicza. Jego poezja budziła w sercach Ukraińców braterskie uczucia przyjaźni do naszego narodu. Marzył o tych czasach, kiedy oba nasze narody będą żyły w zgodzie i przyjaźni.

Jego poezja jest bliska polskiemu czytelnikowi i dziś. Zresztą tu na wschodzie Polski Franko był od dawna dla wielu ulubionym pisarzem. Szkoda tylko, że w ciągu 12 lat Polski Ludowej tak mało wydano jego utworów. Może w roku jubileuszowym nasze wydawnictwa wypełnią tę poważną lukę. Powinniśmy godnie uczcić pamięć tego wybitnego poety rewolucjonisty, wielkiego przyjaciela naszego narodu.

EDWARD SABIK

JAK POWSTAWAŁA WIEŚ NA PRAWIE NIEMIECKIM

(Wyjątki z monografii „600 lat doli i niedoli Krościenka Wyznego i Iskrzyni”)

Po strasznym napadzie Tartarów w 1241 r., który wyłudził kraj i pozabawił go rąk robotnych, napływali do Polski osiedleńcy z Niemiec. Dzięki kolonizacji powstały liczne nowe osiedla, a obryzmie powierzchnie lasów zmieniały się w uprawne pola. Niemiecy osiedleńcy chcieli się rzadzić własnym prawem magdeburskim. To oznaczało, że ich stosunek do właścicieli wsi miał być oparty na czynszach, które odcinali i na samorzadzie sądowym. Jak się organizowała osada? Jeżeli jakiś zasłużony rycerz uzyskał od króla przywilej na założenie wsi na prawie magdeburskim, zjawiał się u niego tzw. zasadzca, który podejmował się utworzyć osadę przez wykarczowanie lasu czyli „na surowym korzeniu”. Kupował od rycerza sołtysostwo za kilkanaście czy kilkadziesiąt grzywien. Następnie imieniem osiedleńców zawierał z panem umowę. Jeżeli chodziło o osadę w dobrach królewskich, to zasadzca wyrabiał sobie sołtysostwo w zarządzie dóbr królewskich. Zasadzca był zwykle ubogi szlachcic, mieszczanin lub sprytny wieśniak.

Najpierw trzeba było osiedliu nadać ogólny kształt, wymierzyć liczbę łanów, a następnie przydzielić łany kolonistom. W lesie wyrąbano drogę i wzdłuż niej budowano domy. W naszych stronach typem wsi jest tzw. łańcuchówka. Osadnik miał wyznaczony pas ziemi od drogi ciągnącej się do granicy wsi i ten pas lasu czy bagien miał kolonista karczować i zamienić na uprawną rolę. Sołtys dostawał za łanem od wielkości wsi 2 do 8 łanów i to wolnych od czynszu. Wyznaczano także łany na pastwisko gromadzkie czyli skotnicę lub wygon. Kmieć miał po jednym łanie, nadto wyznaczano kilka zagród dla rzemieślników jak kowale, szewcy, krawcy, tkacze, piekarze, rzeźnicy, karczmarze itd. Założenie wsi na prawie magdeburskim nie oznaczało, że osadnicy musieliby być Niemcami, podobnie jak nazwisko niemieckie nie zawsze dowodzi niemieckiego pochodzenia.

Wiadomo, że w osadach mieszanych kmieciami czyli rolnikami byli Niemcy, a wśród rzemieślników przeważali Polacy, ale Niemcy na kowala mówili Sznid, na krawca Sznajder, kuśnierza nazywali Pelcarem itd. W starych zapiskach czytamy często, że jakaś wieś powstała np. w XIV w. na prawie niemieckim. Oznacza to, że wieś organizowała się w oparciu o prawo magdeburskie lub przyjmowała je. Jako przykład niech posłuży akt lokacyjny Iskrzyni z roku 1352, który wyjaśnia jak się organizowały niektóre osady.

„W imię Pańskie, amen. Co dzieje się w czasie, z biegiem czasu upada, jeśli nie jest umocnione piśmem i potwierdzeniem świadków. Dlatego

Kazimierz z babiej łaski Król Polski oznajmiamy wszystkim tak współczesnym jak i przyszłym, którzy na te stronie będą pałtrzyć, że chcąc ulepszać i powiększać korzyści królestwa naszego, z gajów i lasów, z których żadna dla nas nie plynęła korzyść, dajemy Jakubowi, zwanemu Iskra wszelką władzę założenia wsi na prawie niemieckim, mającym trwać na zawsze i odmierzyć łany w miejscu zwanym Obrwinów zaczynając od rzeki Wisłok, nadając wsi nazwę pospółką Obrwinów. Ta wieś będzie miała łanów... W tej wsi dajemy sołtysostwo wspomnianemu Jakubowi i potomnym... w posiadanie, władanie z możnością sprzedaży, zamiany i używania dla swojej i spadkobierców korzyści. To sołtysostwo będzie miało wlecieżnię wolne łany po odmierzeniu upiarto jednego łanu dla wypędzania bydła, co się pospółką nazywa skotnica, wszystkie inzamenta, trzeci denar od każdej sprawy sądzonej w wianach wielkich i małych, zachowawszy dla nas tylko dwa denary, wolną karczmę, jajkę mięsna, kram chleba, szewców i krawców, młyn z paru kołami według możności, wolne rybołówstwo na rzece Wisłok, łąki i pastwiska...”

Każdorazowy sołtys będzie obowiązany wystać na wyprawę ogólną jednego człowieka uzbrojonego w pancierz i kopytę na silnym koniu, a kmiećcie obowiązani są dać nam na wyprawę po dwa skojce groszy (4 gr). Na wielkie zaś sądy, które zwykły się odbywać trzy razy w roku, obowiązani są dać, sołtys jeden obiad, a kmiećcie dwa naszym wysłannikom, którego na ten sąd wysłamy, albo też zamiast każdego obiadu dadzą po wiardunku groszy (12 gr).

I aby wieś można było prędzej założyć dajemy i przyznajemy kmieciom wspomnianej wsi zupełną wolność od wszelkich dla nas danin od daty niniejszego osem lat od roli już uprawianych, a od gęstych lasów, które trzeba karczować do 20 lat liczonych bez przerwy... W sprawach zaś sądowych i kryminalnych, wielkich czy małych dajemy i przyznajemy wspomnianemu sołtysowi i jego następcom wszelką władzę sądenia, wydawania wyroku, skazywania i karania, jak tego wymaga prawo niemieckie.

Oprócz tego usuwając wszystkie prawa polskie, które zwykły stać na przeszkodzie prawu niemieckiemu, sołtys wspomnianej wsi, jego następców i tamtejszych kmieci zwołamy i wyjmujemy spod wszelkiej władzy i sądów wojewodów, kasztelanów, sędziów, podsędków i ich urzędników. Tak, że sam sołtys i jego następcy wezwani przez nich lub któregokolwiek każdorazowego z nich wcale nie będą odpad-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Wisłok w Jazowej (pow. Strzyżów)



Rzemień

PIĘKNO ZIEMI

NASZE KWIATY ŻYCIA BĘDĄ PIĘKNIEJSZE

Kłaniaj się wiejskim nieszanym nauczycielkom,
Braćym przez śniegi do szkółek w mrozy starczyście,
Kłaniaj się z wycym, drukarzem, obywatelko
Rzeczypospolitej Polskiej — jasnej i czystej!

JULIAN TUWIM
(z wiersza: „Do córki w Zakopanem”)

Dotychczas, nauczanie i wyniki w nauce — co wcale nie jest jednoznaczne — spotykały się z najrozmaitszymi zarzutami, których przyczyny były niezwykle poważne i wyjątkowe...

Ale myślę, że najlepiej będzie, gdy pokrótce opowiem o nauczycielskiej naradzie, odbytej w ubiegłym tygodniu w wojewódzkim mieście Rzeszowie. Te same zagadnienia przenikają całokształt naszego szkolnictwa, więc obraz będzie nosił wszystkie cechy tzw. typowości. Jak w całym kraju, tak i u nas nauczyciele ujawniali podczas dyskusji różnorodne niedomogi, wypaczenia w teorii oraz w praktyce pedagogicznej, wskazując na ich źródła i wysuwając celne wnioski dla należytego pokierowania pracą szkoły, która musi uczyć i wychowywać. Czy to znaczy, że dotychczas szkoła nie wypełniała tego zadania? Starła się je spełnić i na ogół to się jej udawało. Ale tylko na ogół. Bo w niektórych przypadkach — nieraz ważkich — hamowały normalny tok nauki i często nie wpływały na wychowawcze oddziaływanie pedagogów. Jak w innych dziedzinach naszego życia, tak i w szkolnictwie nie brakło sztywnych administratorów, dogmatycznych „ustawiaczy” i załamanych techników, których „działalność” ujemnie za ciężała na pracę szkolną, zatrzała jej atmosferę.

XX Zjazd wnioś! i tu prądy pełne świeżego życia, VII Plenum i tu otworzyło ludziom usta.

Słusznie więc m. in. zwracano uwagę na konieczność właściwego traktowania np. nauki historii ze szczególnym podkreśleniem wywoływania bodźców uczuciowych u młodzieży. Bo dotychczas w materiale historycznym często niepotrzebnie obciążano pamięć uczniów nie zliczoną ilością faktów, wkuwanych automatycznie i „wydawanych”, jakby kto pożytywkę nakręcił — sucho, nudnie, drętwo. Niech tylko wtedy trochę pamięć ucniła zawiodła, niech mu tylko słówko gdzieś umknęło — jak śrubka w zawleję, teoretycznie poznanej maszynie! — już cała fabryka wiadomości ulegała awarii. Np. w podręcznikach szkolnych do historii Polski niektórzy nasi bohaterzy narodowi zostali brutalnie zdegradowani i przedstawieni jako polityczni czy społeczni szkodnicy lub wręcz głupcy. Tymczasem na wzorce wielu rolników patriotów, np. z okresu powstań śląskich, powstań listopadowego czy styczniowego trzeba uczyć naszą młodzież gorącej miłości ojczyzny. O tym pięknie mówił na konferencji nauczycieli — M. Skoczek.

Podręczniki szkolne oraz programy nauczania są już — i będą poprawiane, co nauczyciele przyjmują z wielką radością.

dotychczas, gdyż dotychczasowe niejednokrotnie utrudniały na uke, zarówno uczącej się młodzieży jak i pedagogom.

Złe wpływały na wyniki w nauce ciągła wymiana nauczycieli. Dochodziło nieraz do takich absurdów, że w ciągu roku, bez żadnej istotnej przyczyny przetrzczało się ich z klasy do klasy, ze szkoły do szkoły, ba, nawet od przedmiotu do przedmiotu. Po co? Często odrzucając bardzo dobrego i uzasadnionego pedagoga — i ucząc, że nauczyciel nie uczy! danego przedmiotu z roku na rok, tych samych uczniów.

A jak niejednokrotnie wyglądało samokształcenie nauczyciela? Ano niejednym zapisał się na zaoczne studium, by pogłębić i rozszerzyć swą wiedzę, a bywało, że na tym skończył. Bo akurat tak mu ułożono podział godzin lekcyjnych, że miał przez cały dzień pełno „okienek”, albo też — zamiast ująć mu pracy w szkole — dodawano i godzin i różnorodnych funkcji społecznych. Np. nauczyciel ze Skolozowa pracuje w kole ZSL, jest członkiem zarządu świetlicowego ZMP, członkiem GRN, członkiem komisji oświatowej, kierownikiem szkolenia ideologicznego itd. Kiedyż więc ma on czas na podnoszenie swoich kwalifikacji? I jakże w tych okolicznościach ma wyglądać nauczanie i wychowanie dzieci szkolnych, czemu nauczyciel musi się przede wszystkim poświęcić.

Zła atmosfera w pracy szkolnej wprowadzały ingerencje różnych czynowników, usiłujących wywierać nacisk na ocenę pracy uczniów. Były także wypadki. I zdarzało się, że „niezdyscyplinowany” nauczyciel gorzko odcierpiał, gdy nie ustąpił, dając notę niedostateczną ustosunkowanemu leniwemu uczniemu. Szkoła tylko, że na tej konferencji dyskutanci nie ujawnili nazwisk owych ingerentów. Samo bowiem powiedzenie: „więc telefonik, to jeden to drugi... i potem: a jednak wy go (ją) przepuścicie!” — nie trafiało celnie w winowajców — no, ale należy przypuszczać, że nauczyciele staną się w najbliższej przyszłości... odważniejsi.

Nikt inny tylko oni powinni decydować o postępkach w nauce i o notach, które zawsze muszą być wynikiem niezwykle skrupulatnej, sumiennej i sprawiedliwej oceny pracy uczniów.

O złym zachowaniu się młodzieży szkolnej padło wiele krytycznych głosów. Istotnie można bardzo często obserwować to na ulicach Rzeszowa, w kinach, parkach itd. Ale czy tu wyłącznie tylko sama młodzież jest winna? Myślę, że my wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za jej wychowanie. W pierwszym rzędzie trzeba winą obciążyć dom, rodziców, ileż to nieraz złych przykładów, nawyków, obłudy a nawet cynizmu wynosi dziecko z domu. Jest w Rzeszowie sporo

świetlic szkolnych i trzeba zapytać: czy są one magnesem dla młodzieży, czy też odpychają nudą i pustką? W czasie dyskusji mówił przewodniczący Miejskiego Zarządu ZMP o celach i zadaniach swej odradzającej się organizacji — ale myślę, że jednym z pierwszych powinno być objęcie troskliwą opieką tutejszych świetlic szkolnych, czuwanie nad zachowaniem się młodzieży poza szkołą, organizowanie wspólnie z nią najrozmaitszych i atrakcyjnych rozrywek, których ona tak bardzo pragnie. Pole do popisu szerokie — i skłonna jestem zaryzykować twierdzenie, że im mniej będzie złego zachowania się rzeszowskiej młodzieży szkolnej, tym lepiej pracują rzeszowski ZMP.

Nauczyciel Władysław Stanio obrazowo przedstawił dojazd młodzieży do szkół rzeszowskich. Nie był ten obraz wesoły. Ostatnio np. coraz częściej alarmują tutejsi lekarze o zapadaniu na zdrowiu młodzieży dojeżdżającej. A tymczasem jedną jedyną burzę w Rzeszowie, kapitałnie odremontowaną przed paru laty zajęło wojsko na biura. Prezydium MRN zapewne upomni się o jej zwolnienie, ze względu na dobro młodzieży dojeżdżającej — a poza tym trzeba na gwałt budować drugą burzę.

Sierpniowa konferencja rzeszowskich nauczycieli miała swój wysoki ciężar gatunkowy i wykażała, jak bardzo żarliwe serca pedagogów ma po swej stronie sprawa wychowania młodego pokolenia w duchu humanizmu i socjalistycznej moralności. Madra i zdrowa krytyka dotychczasowych metod pracy w szkole, stanowcze odżegnanie się od zakłamania i dwulicowości, troska o dobro dziecka, o ukształtowanie jego charakteru, o mocne złozenie fundamentów pod naukowy światopogląd w młodych umysłach — cała wielka odnowa, w pełnym oświadczeniu działalności nauczycielstwa, napawa ogromną otuchą.

Ale w nowym, lepszym okresie tej pracy nie może być tak, że nauczyciel — obciążony dziesiątkiem najrozmaitszych obowiązków dodatkowych — idzie do klasy przemęczony i niewypoczęty. Nie może być tak, by nauczyciel z zagrożonym zdrowiem miał trudności w uzyskaniu miejsca w sanatorium; nie można tolerować obojętności Prezydium MRN w Rzeszowie na warunki mieszkaniowe nauczycieli (którzy narazie coś tam teraz otrzymali z „puli” — i to uważają za dobry początek).

Wszystko idzie u nas ku lepszemu, więc i nauczyciele, jako czołowi pracownicy oświaty, niewątpliwie przystąpiłi teraz do dalszej pracy z innym duchem, z nową energią i wiarą, że młode pokolenie — nasze kwiaty życia — wyuczą i wychowają na obywateli „Rzeczypospolitej Folskiej — jasnej i czystej!”

M. W.

NA POMOC ZABYTKOM!

Przed paroma tygodniami poruszyłem sprawę zabytków w rozmowie przeprowadzonej z wojewódzkim konserwatorem. Dziś czuję się w obowiązku dotknąć po raz drugi tego bolesnego tematu, który nie schodzi obecnie z łamów naszej prasy. Tym bardziej przykre są te sprawy dla mnie, że w artykułach Mycielskiego i Jana Wiktora, zamieszczonych w „Przebiegu Kulturalnym”, ciągle powtarza się jeden zarzut, że w woj. rzeszowskim mają miejsce jedne z największych skandali zabytkowych. Wszystkimi przecież znana jest historia zamku w Baranowie jak i niszczących zespołów parkowo-pałacowych w Dukli, czy Sienawie.

Zarzuty skierowane przez autorów tych artykułów zmierzają przede wszystkim pod jeden adres: gdzie jest i co robi Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie? Kiedy przypominał sobie artykuł Pawła Jasienicy („Nowa Kultura”) owo mocne słowo wypowiedziane przez tow. Helenę Sobko (którego osobiście nie słyszałam, może to zreszta leniej) charakteryzujące zabytek, nie trudno mi wyobrazić sobie pojęcia Wiktoro czy Mycielskiego o naszych władzach kulturalnych. Nie jest ono, i w żadnym wypadku nie może być, dobre. Czy jednak zwalanie całej winy na Prezydium WRN w Rzeszowie jest słuszne i co ważniejsze celowe? Mnie się wydaje, że nie. Dla mnie, powód katastrofalnego stanu zabytków leży w czymś innym, w czymś o wiele groźniejszym niż pozardliwy stosunek jednej osoby — w powszechnej obojętności całego społeczeństwa.

W wędrowkach po terenie często można spotkać tabliczkę ze spowiatym napisem: „Zabytek jest pod ochroną Ministerstwa Kultury i Sztuki”, a nad nią druga o wiele większa „Państwowe Gospodarstwo Rolne”. Tabliczki owe niewiele mówią „niewątpliwie” dla mnie zaś oznaczają powolny koniec chronionego obiektu. Od tej pory bowiem rozpoczyna się utajona rywalizacja między dwiema instytucjami, z których jedna (Ministerstwo Kultury i Sztuki) z odległości paruset kilometrów nie bardzo pamięta, że kiedyś położyła swój podpis, a druga (PGR) — realny użytkownik „dba” już z bliska o swoją nowonabytą stodołę czy spichlerz. Tak właśnie zadbane o zamek w Baranowie, zostawiając karłowate zniszczenia, godne miana przestępstwa.

Przestępstwa te popełniają nie tylko PGR, które nie liczą się zupełnie z rozporządzeniami Prezydium WRN, czując się udzielnym panem na zajmowanym terenie. O innych szkodnikach opowie najlepiej historia zamku w Krasieczyźnie — XVI-wiecznym renesansowym zabytku, uwanym za jeden z najwspanialszych w Polsce. Zaprowadziwszy drob-

ne remonty Samopomoc Chłopska przeznaczyła go na ośrodek szkoleniowy — Technikum Leśne. I tu zaczyna się historia o złym użytkowniku. Całe tony węgla zrucane w bramie zamkowej, zagrożony portal, wejściowy, oblanie trawników, łamanie zabytkowych drzew i wreszcie piękna kaplica zamkowa, gdzie użytkownik nie poczuwa się nawet do zalatania kawałkiem blachy dziury w dachu — oto bogaty plon, którym obciążone jest konto Technikum.

Budownictwo drewniane: stare forty, cerkiewki, domki podcieniowe stają się przeważnie łupem okolicznej ludności której apetyty ciągle wzrastają. Najpierw nieśmiało wynosi się zwisający luźno gont z dachu, później opuszczony przez wszystkich obiekt grabi się coraz drapieżniej, wywołując wszystko co może być przydatne w gospodarce całokształt nierozumnym wśród ludności znaczenia i roli obiektów, na które składają się całe wieki pracy twórczej nieznanych dziś już artystów, ułatwia w pełni ten proceder, niżdzie i przez nikogo nie karany.



Hoszów (pow. Ustrzycki). Cerkiewka z XIX w. jeden z pięknych przykładow ciekawki ludowej w woj. rzeszowskim.

Zgola tragicznie przedstawia się stan zabytku, kiedy prywatnym machinacjom dzielnie dopomagają władze miejscowe lub powiatowe. Wielu takich wypadków miało miejsce na terenie powiatu sanockiego czy ustrzyckiego. Kiedy to przedstawiciele kultury handlowali drzewem w rozebranej cerkiewce, dobijają targu w pobliżcei knajpie. Każdy nowy, rozebrany obiekt dawał pole do zawarcia złotego interesu, gdzie wilk był syty, owca cała, a konserwator i przedstawiciele Prezydium WRN trochę pokrzyżczeli i... sprawa ucihła.

Stwierdzenie, że jedyną władzą kompetentną w wydawaniu zarządzenia, że obiekt jest pod ochroną, czy też należy go zburzyć ze względu na jego bezwartościwość jest konserwator, stało się w tej chwili sloganem, wyświechtanym zdaniem, nie mającym żadnego pokrycia w

praktyce. Samowola władz terenowych dochodzi często do tego stopnia, że nie przeszkadza im zburzyć obiektu, co do którego otrzymano wyraźne rozporządzenie, że ma być pieczołowicie chroniony.

Wśród zabytków Rzeszowszczyzny pewien procent przypada na cerkiewki ukraińskie, których niezaprzeczone wartości historyczne były doceniane jeszcze w czasach, kiedy tereny te należały do Związku Radzieckiego. Należy stwierdzić, że cerkiewki te przejęliśmy w stanie prawie rozkopanym, z kompletnym urządzeniem i wyposażeniem wewnątrz.

Niektóre z nich zaginęły bez śladu; nic i nikt nie jest w stanie udzielić informacji z czyjzego polecenia dokonano ich rozbiórki i gdzie znajdują się ich szczątki.

Problem inwentaryzacji i ochrony zabytkowych cerkiewek dość często łączy się z zarzutem religianctwa, stawianym przez ludzi, wykazujących całkowitą ignorancję w sprawach zabytków, co więcej, śmiem twierdzić, nie rozumiejących samego znaczenia słowa religianctwo. Trzeba byłoby wreszcie raz na zawsze skończyć z tego rodzaju twierdzeniem. Niejednokrotnie cerkiewka stanowi dla nas przedmiot zabytkowy, a jako taki winna być pieczołowicie chroniona i zabezpieczana. Zaś w wypadku, kiedy zabytek zakwalifikowany jest przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz odpowiedzialne władze wojewódzkie do rozbiórki, konieczna jest wtedy obecność konserwatora — pracownika naukowego, który powinien sporządzić fachowy protokół, będący jednocześnie cennym dokumentem dla badawczych prac naukowych. Prawie każde naństwo stosuje te metody, która jedynie u nas nie znajduje słusznego zrozumienia.

Pisząc o zabytkach, o ich katastrofalnym stanie i koniecznej im natychmiastowej pomocy, nie mam zamiaru wyliczać w nieskończoność samych tylko przyczyn, ale także pragnęlibym znaleźć jakieś rozwiązanie. — Od 12 lat wojewódzki konserwator nie ma kompletniej inwentaryzacji zabytków. Chyba już natwóżył czas opracować to abecadło pracy konserwatorskiej, pozwalające ustalić listę zabytków, wymagających jak najprędzej pomocy, a z drugiej strony listę obiektów zakwalifikowanych do rozbiórki. Uzyskany z niej materiał można przecież zmienić w pieniądze, któreś tak niewiele w rocznym budżecie.

Złym i niesummiennym w wielu wypadkach jest PGR, jako użytkownik cennego zabytku. Wyrzucajmy takich, szukając instytucji, które w pełni doceniają wartość powierzonego im mienia i w godny sposób będą je użytkować.

Sprawa najbardziej trudna jest straszliwe zaniedbanie kulturalne, jakie rozpanoszyło się wśród naszego społeczeństwa. Dlatego trzeba położyć szczególny nacisk na zagadnienie popularyzacji działalności konserwatorskiej. W dziedzinie tej duża pomoc może okazać nauczycielstwo, uczynając już od najmłodszych lat kształtować u młodzieży poczucie piękna i umiłowania skarbów kultury narodu.

Niechże i TWP przełamie sławetne tradycje nudnych odczytów i także szeroko wiączy się do tej akcji.

Inne zaś rozwiązania podsunę pod adresem tych, którzy mają praworządność, zaniedbują swoje obowiązki zawodowe i społeczne, usiłując robić interesy na zabytkach i grabią nasze skarby narodowe. Takich ludzi otwarcie nazwijmy przestępcami, którym winien zająć się jak najszybciej prokurator.

A więc na pomoc zabytkom!

KRYSTYNA
ŚWIERCZEWSKA

RZESZOWSKIEJ



Sanoko koło Zagórze



Sanok

POWROTY — czyli powieść Jarosława Iwaszkiewicza

Wielkim tematem współczesnej literatury — poszukiwanym przez artystów, postulowanym przez krytyków, wyczekiwany przez czytelników — jest historia, nie jako biografia wodzów i polityków, nie jako legenda, nie jako zbiór anegdot o bohaterach. Nawet nie jako kronika cierpień i strat doznanych przez szarego człowieka. Historia — jako wielka walka ideologii, jako dyskusja o sensie postępu, o kierunku działania ludzkiego, o kryteriach sprawiedliwości i prawdy. Dokonuje się jakaś istotna przemiana gustów, odbywa się jakaś żywiołowa selekcja literackich tradycji, ręka współczesnego czytelnika (naprawdę współczesnego), błądząca po półkach bibliotecznych w poszukiwaniu lektury, pominięte całe szeregi tomów, w których współczesne pasje nie znajdują echa. Wszystko co w literaturze jest cenione kiedyś indziej elegancją, podziwianą kiedy indziej wnikliwością psychologiczną, wrażliwością i głębią, które inne pokolenia uważały sztuki przeżywania, sprawności oka i pamięci, dzięki której zastępy w książkach formy minionych kultur i zamierzonych obyczajów — wszystko to, co tyle-

króć zdobywało sobie najwyższą cenę i najwyższy podziw — natrafia teraz na opór wyobraźni, ukształtowanej pod naciskiem pryncypialnych, niecierpliwych, gwałtownych trosk. **Z**nam młodego prozajka, który twierdzi, że „z całej” literatury zostaje tylko Szekspir i Dostojewski, i rzeczywiście czyta tylko Szekspira i Dostojewskiego, ponieważ w dramatach władzy i w szaleństwach dekadencji, i przedwczesnej rewolucji znajduje echo własnych dramatów i własnych szaleństw. Dla pokolenia gwałtowników powieść Jarosława Iwaszkiewicza jest swego rodzaju prowokacją. „Sława i chwala” jest pierwszą częścią wielkiego cyklu powieściowego, który — już to wiemy — będzie historią pierwszej połowy naszego wieku. Historia! — duże słowo. Czy historia, tak jak ją rozumie niecierpliwie czytelnik „Juliusza Cezara” i „Biesów”? Właśnie wręcz odwrotnie: „Sława i chwala”, której akcja rozpoczyna się na parę tygodni przed pierwszą wojną światową, a kończy na parę lat przed drugą wojną światową, wędruje poprzez dzieje tych dwudziestu lat bokami. Tych

sztych rozdział zamyka pożegnaniem bohaterów rozjeżdżających się na wsie strony wobec wieści o wojnie. I właściwie rozdział ten jest w powieści najważniejszy — jest jak gwiazda na szczycie choinki, od której rozchodzą się wszystkie łańcuchy. Ludzie, którzy latem 1914 roku na Ukrainie zegnali się i rozstawali spotykają się potem w różnych czasach, w różnych miejscach i w różnych postaciach — oto na czym polega dalsza akcja powieści. Egzaltowana córka odeskiego policmajstra, która w 1914 r. deklamowała Błoka na zebraniach młodych rewolucjonistów, pozwoli się odnaleźć kochającemu ją bohaterowi powieści w Paryżu. W snobistycznych kółkach w charakterze egzotycznej, modnej emigrantki. Jej brata spotka tenże sam bohater podczas letniej ofensywy 1920 r. rannego, ukrytego w stodole przez chłopca, który sprzątał bolszewikom — od niego otrzyma legat ideologiczny: broszurę Lenina. On sam, bohater powieści, hrabia Janusz Myszyński, po utracie ukraińskiego domu odnajdzie jego namiastkę w podwarszawskim folwarczku. Zanim to się stanie, przyjdzie mu odbyć bajroniczną wędrowkę po Europie w poszukiwaniu utraconej równowagi: będzie więc Paryż, gdzie, obok córki odeskiego policmajstra brylującej w artystycznych salonach, odnajdzie się córka odeskiego dozorczy — obecnie amerykańska śpiewaczka. Paryż fascynujący i niezdrówy, gdzie noworzyse dojadają resztki, po XIX wieku, a prawdziwi artyści spalają się w poszukiwaniu nowej idei, nowej formy, nowego celu. Będą Niemcy, gdzie studenci w haftowanych deklach słuchają Wagnera z podejrzanym podnieceniem i uczą się rozróżniać nordyków od nie-nordyków. Będzie wreszcie Polska, gdzie na tej dziwniejszej resztkowce wykreślonej z trzech zaborów ostatni szlagon dokona ostatniego rokożsu, po czym rozpocznie się drobniomieszczkańsko-drobnoziemiańska praca organiczna, podsycana ideologią sprzed pięćdziesięciu lat. Wtedy i nasz bohater osiadł na swojej resztkowce, aby udawać, że powróciło coś z tego, co zapadło się w nieścisłe dni pierwszego sierpnia 1914 roku, kiedy to skończył się na dobre XIX wiek.

W powieści „Sława i chwala” rzadko, rzadziej niż w historii, odzywają się armaty, rzadko rozpalają się pryncypialne dyskusje od jakich gorzały umysły tego pokolenia, którego losy stanowią treść powieści Iwaszkiewicza. „Sława i chwala” jest to wielkie studium schyłku, pokazujące jak długo i jak załotnie przewleka się agonie epoki, która jeszcze latem 1914 r. żyła życiem pełnym i dość bezpiecznym. A której strzępy już w dwadzieścia lat potem ledwo wystarczą na maskaradowy kostium. W powieści Iwaszkiewicza jest nastrój podobny jak po balu, nad ranem, kiedy to po opustoszałej, zaśnieconej sali, wśród porzastawianych mebli snują się pomęczeni, wymięci goście, trochę jeszcze pijani, a trochę już trzeźwiejący i próbują beznamiętnie wznowić podniecającą euforię pierwszych chwil zabawy, przywrócić jej formę, wskrzesić jej sens. Powieść Iwaszkiewicza nawiązuje do tradycji niepopularnych wśród współczesnej opinii literackiej. Do tradycji pisarstwa, którego natchnieniem jest tylko pamięć — pamięć oka utrwalająca kształty, gesty, barwy, i pamięć serca utrwalająca wzruszenia. Powieść ma charakter opisowo-liryczny, składa się z nastrojów i plotek. Powiedzieliśmy już, że prowokuje — pro wokuje właśnie swoją pryncypialnością, swoją niechęcią do jednoznaczności, swoją rezerwą. I swoją łagodnością wobec wszystkiego, co ludzkie. Bodajże ta łagodność jest jej ukrytą ideologią. Iwaszkiewicz jest pisarzem łagodnym i wyrozumiałym: ktoś ośmielił się sądzić — zdaje się mówić póki życie trwa? I w tym łagodnym przeżegnaniu wszystkich bohaterów, którzy ruszyli na szaloną wędrowkę poprzez burzę XX wieku, jest jeszcze jeden powrót do ukraińskiego łań — do ostatniego lata minionego epoki: bo oto koszar dwudziestu lat jawi nam się tak ściśniony i zamazany, jakby był snem czymś, przespanym którejś spokojnej, dusznej nocy na tej przedwojennej i przedrewolucyjnej Ukrainie. Inaczej: powieść Iwaszkiewicza, to pełny przyjaźni i współczucia gest epoki, która przeszła, dla epoki, która burzy się i trwa.

ANDRZEJ KJOWSKI

*) Jarosław Iwaszkiewicz — „Sława i chwala”. PIW 1953

JAK POWSTAWAŁA WIEŚ na prawie niemieckim

(Ciąg dalszy ze str. 2)

władali, że tylko wobec nas lub w naszym sądzie według wyżej wspomnianego prawa niemieckiego obowiązani będą odpowiadać, kmiecie zaś odpowiadają wobec sołtyśa wspomnianej wsi.

Na świadectwo tej pieczy złożono u niniejszego dokumentu naszą większą pieczęć króleuską.

Dziato się w Sanoku w dniu natwórcenia św. Pawła roku Pańskiego tysięcznego trzech setnego pięćdziesiątego drugiego.

Wyżej podany akt lokacyjny Iskrzyni znakomicie uzupełnia wyobrażenie jak organizowano osady na prawie niemieckim, a równocześnie dowodzi, że termin przyjęcia ustroju opartego na prawie magdeburskim nie jest równoznaczny z powstaniem osady, gdyż Iskrzynia jako osada zwana Obrwinowa istniała przed 1352 r. już zapewne parę dziesiątek lat. Z biegiem czasu Obrwinowa nazywana Iskrzynia Wola i w końcu ustaliła się nazwa Iskrzynia. W roku 1352 Jakub Iskra zebrał grupę Niemców i usiedlił ich w istniejącej już osadzie, na prawie magdeburskim.

Iskrzynia jest jakby przedłużeniem Krościenka. Wyglądem i sposobem zabudowania Iskrzynia przypomina Krościenko, z którym od przeszło 600 lat dzieli dolę i niedolę. Cała ta okolica była zalesiona i stanowiła trudną do przebycia puszcze. Zwierzyna taka jak wilk, dzik, jelen i rosągacz, ryś, niedźwiedź, a nawet tur miała na ziemiach dzisiejszego powiatu krośnieńskiego swoją słąkę ostoję.

Ziemię dzisiejszego Krościenka Wyznego i Iskrzyni były własnością króleuską. Krościenko Wyzne leży w dolinie Wisłoka po obydwóch stronach rzeki. Sama dolina rozciąga się na wysokości 287 m n.p.m. Domy szeregują się wzdłuż drogi powiatowej i gromadzkiej, które w pewnym oddaleniu od Wisłoka idą po obydwóch jego stronach przez całą wieś. Po lewej południowej stronie Wisłoka teren łagodnie podnosi się w stronę Targowisk i Łęzan, natomiast po stronie prawej, północnej, rozciąga się Góra Marynkowska ciągnąca się pasmem prawie przez całą wieś. Z góry tej rozciąga się wspaniały widok na wieś i okolice. Na górze Marynkowskiej najwyższy punkt jeszcze dziś nazywa się „Patrią”. Tam zasowne palono wici, gdy groziło niebezpieczeństwo.

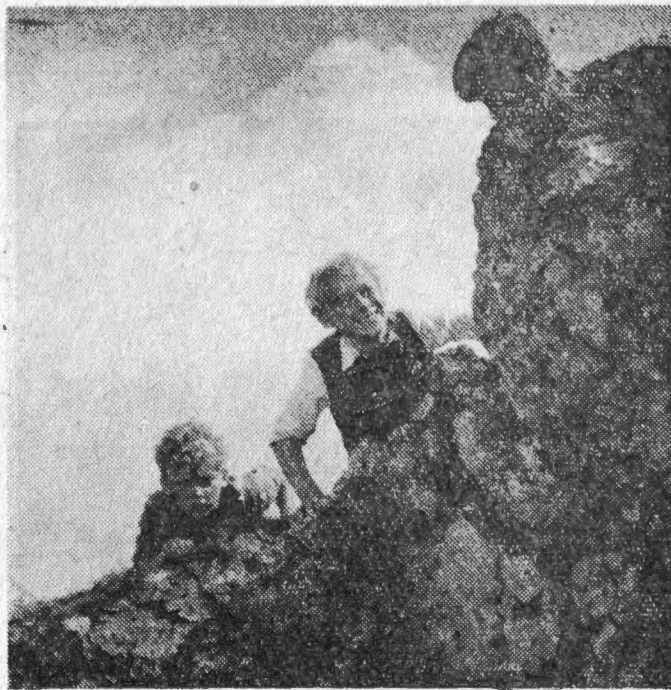
Rozbudowa wsi zaczęła się po obydwóch stronach Wisłoka. Ponieważ w Krościenku wszyscy kolonisci zaczęli od karczowania, więc uzyskali zwolnienie od wszelkich danin na lat 20 czyli do roku 1370. Zwyczajem ówczesnym w środku wsi ustawiono słup a w nim 20 kołków oznaczających lata wolności. Co roku wybijano jeden kołek. Po wybiciu wszystkich kołków, musieli już kolonisci płacić czynsz, ale zresztą byli to wolni kmiecie królowscy. Władze nad nimi sprawował jedynie sołtyś dziedziczny, a wszelkie spory i sprawy karne rozpatrywał i sądził wspólnie z siedmioma ławnikami wybieranymi przez gromadę.

Obie wsie należały do folwarku w Besku. Na sądy wielkie przyjeżdżał delegat dóbr królewskich. Odhwytały się one zwykle w karczmie sołtyśa lub w kmiecej izbie.

WAWRZYNIEC KUŚNIERZ

„Tajemnica dzikiego szybu”

Każdego nowego filmu Wandy Jakubowskiej oczekujemy jako pewnego rodzaju evenementu artystycznego.



Scena z filmu

Znana widzowi jeszcze sprzed wojny założycielką postępowej grupy filmowców pod nazwą „Start”, którego

celem było przeciwstawienie się wszelkim hurra — patriotycznym kiczom o ułanach — chłopcach malowanych czy dworskiej panience i innych cikliwo-sentymentalnym historykom, zaraz w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny zaszokowała świat swym nowym dziełem „Ostatni etap”, nagrodzonym w Marińskich Łąkach. Przypominam sobie nawet słowa znanego krytyka filmowego Georges Sadoula, który opuszczając salę kinową, w której odbyła się premiera „Ostatniego etapu” powiedział: „Z zdumieniem i radością odkryliśmy istnienie polskiej kinematografii”. Jakubowska realizując obraz o ponurych latach w obozie, marzyła o innym filmie „pogodnym i wesółym, o pracy i odbudowie, o tańcu i śpiewie, o miłości, o czym chcacie, ale nie o tym lagrze”. Jednak film o lagrze musiał powstać i musiał przekazać prawdę ludzką, prawdę ostrzegającą przed nowym nieszczęściem. Dopiero w roku 1956 z marzeń tych zrodził się obraz o życiu pogodnym i wesółym, o sprawach i troskach dnia codziennego — „Tajemnica

dzikiego szybu”. Pamiętając słowa Jakubowskiej i ogładając film o małych urwisach odnośnie wrażenie, że znany filmowiec potraktował sprawę młodego pokolenia z nadzwyczajną serdecznością i ciepłem.

Historia gromadki rozhułkanych łobuziaków z VI klasy — to rozświetlony obrazek, który promieniuje radością życia. Bezpretensjonalna fabuła, opowiadająca o perypetiach Franka i Karlika, starych znajomych z „Opowieści Atlantykowej”, który zapiął się w aferę szpiegowską, nie intryguje (z góry wszyscy wiedzą, że samotny osobnik, który wędruje po chodnikach opuszczonego szybu, okazał się uczciwym człowiekiem), ale stwarza wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Cóż to bowiem nie może się wytworzyć w wyobraźni 12- i 13-letnich wyrostków? Mam wrażenie, że tym właśnie zagadnieniem zajęła się przede wszystkim Wanda Jakubowska.

Film uderza śmiało w pomuractwo, występuje przeciw stłumieniu swobody młodzień-

czej i wtłaczaniu jej w ciasne ramy szkolnego życia. Konflikt dyrektora szkoły z nauczycielem, kochającym szczerze młodzież, rozumiejącym ją, popierającym pęd do niezwykłych przygod, jest potraktowany z dużą dozą ironii. Śmiesznie pompatyczny i nadejty w swej powadze wygląda stary dyrektor, zwolennik absolutnego ryguru i porządku w swojej szkole. Wydaje mi się, że na szczególną uwagę zasługują sceny, w których solidarność całej klasy, wyrażona w końcowym, pięknym czynie, pomaga młodemu entuzjastycznie nowych metod nauczania do kontynuowania jego pracy.

Maly Miksa jest zachwycający w roli ucznia — zakąły, który nareszcie zrozumiał, że przygoda to jeszcze nie wszystko w życiu. Jego puculo-wata, wiecznie umorusana twarzyczka o szeroko rozwartych oczach wzbudza zaufanie, że młody nauczyciel ma rację twierdząc, że klasa nie jest rozwydrzona, ale w pełni doceniającą konsekwencję tak nauki jak i przygody.

Sekret powodzenia filmów Wandy Jakubowskiej leży w ukazaniu szarego dnia, tchnącego właśnie pogodą, radością życia i wielką prawdą. K. S.



Co ten gość taki zamysłony? — To kierownik kina, myśli jak się dostać na pierwszy seans do „Zorzy”.

NA DANCINGU — No, czy trzeba lepszego kina?



A teraz opowiem ci, jak zaczęto budować kino „Zorza”. Byłem wtedy jeszcze młody...